

0 kompetentnym patriotyzmie



SŁAWOMIR ŁUKASIEWICZ

0 kompetentnym patriotyzmie

Rapperswil jest bardzo dobrym miejscem do rozważań o patriotyzmie. O polskim patriotyzmie szczególnie, ale uczynimy na nasze potrzeby z tego kategorię uniwersalną – o patriotyzmie każdego człowieka. Rapperswil ma pewne szczególne cechy. Po pierwsze, jest z daleka od Polski. A więc daje pewien neutralny grunt i konieczny dla Polaka dystans, aby na rzecz spojrzeć. A jednocześnie Rapperswil jest pełen polskich śladów i manifestacji patriotyzmu. Pełne ich jest znakomite muzeum, o którego egzystencję cały czas toczy się batalia. I toczą ją Polacy, dla których egzystencja muzeum stanowi właśnie o istocie ich patriotyzmu. Czy jest to punkt zbieżny z punktem widzenia instytucji, które mogłyby tę egzystencję zagwarantować – tutaj można mieć pewne wątpliwości. Ale nie zagłębiajmy się w dodatkowy problem, jakim może być wsparcie instytucji dla działań patriotycznych. Koniec dygresji. Wreszcie Rapperswil to także miejsce, gdzie stoi kolumna barska – symbol umiłowania wolności w czasach, kiedy ta wolność staje się zagrożona. Znajdziemy tu pamiątki i po Tadeuszu Kościuszcze, i po Janie Nowaku-Jeziorańskim, wiele historycznych świadectw działania na rzecz Polski.

To wszystko to ważne zewnętrzne ślady i symbole patriotyzmu, formy pamięci o patriotyzmie naszych przodków, o patriotyzmie, który niejednokrotnie wiązał się z poświęceniem. Czymże jednak jest ów patriotyzm, gdzie szukać jego źródeł, jak go wyrażać, wreszcie: czy jest tylko jeden rodzaj patriotyzmu? I tutaj Rapperswil znowu przychodzi z pomocą, tym razem za sprawą przechowywanych archiwów. Są to archiwa znakomite. Polskich patriotów, którzy działali na rzecz Polski w świecie. Ale aby to czynić, najpierw przeszli testy, których nikt z nich się zapewne nie spodziewał. Skupię się tutaj na dwóch osobach, chociaż pewnie można byłoby tę listę wydłużyć. Chociażby o

Zbigniewa Rapackiego – uczestnika powstania warszawskiego, doradcy najważniejszych francuskich polityków w latach zimnej wojny, ale również doradcy prymasa Stefana Wyszyńskiego, gdy ten wyjeżdżał na Zachód. Czy znakomitego pisarza Jerzego Stempowskiego, którego przepastna spuścizna trafiła właśnie tutaj. Jednak my skupimy się na ojcu Józefie Innocentym Marii Bocheńskim i Krystynie Marek. Pierwszą z tych postaci być może przynajmniej część osób zna i kojarzy – dominikanin, znakomity logik, profesor i przez krótki czas rektor uniwersytetu we Fryburgu, znakomity znawca filozofii marksistowskiej i niestrudzony jej krytyk. Przygotowany przez niego przewodnik po światowym komunizmie, liczący 8 tys. stron i gromadzący teksty 60 autorów ze świata, ukazał się w setkach tysięcy egzemplarzy – rzecz dzisiaj niewyobrażalna w przypadku książki naukowej. W jego biografii odnajdujemy również piękny szlak bojowy w czasie II wojny jako kapelana biskupa polowego Wojska Polskiego abpa Józefa Gawliny, a także świadka bitwy pod Monte Cassino. Jednak Krystyna Marek? Zakładam, że dla współczesnego czytelnika imię to brzmi zupełnie głucho. Nie miała życiorysu tak barwnego jak ojciec Bocheński – zapalony automobilista i pod koniec życia także lotnik-amator. Dla Krystyny Marek wojna zaczęła się od wędrówki przez Rumunię, Francję i północną Afrykę do Anglii. Tutaj spędziła większą część wojny, nabierając sprawności w językach obcych i sprawach konsularno-dyplomatycznych, myśląc w przyszłości o karierze dyplomaty. Jednocześnie prowadziła na potrzeby polskiego rządu kampanię uświadamiającą brytyjskim robotnikom, jak wygląda sytuacja Polski i jak wielki wysiłek ponoszą Polacy, walcząc w tej wojnie. W ocenie ówczesnego polskiego rządu wykonywała tę pracę znakomicie. Potem studia w Genewie, dzięki którym stała się prawdopodobnie jednym z najlepszych polskich specjalistów od prawa międzynarodowego – jeszcze do tego na chwilę wrócimy. I wreszcie czas „Solidarności” – intensywna współpraca z biurem w Brukseli, kierowanym przez Jerzego Milewskiego, dzięki czemu powstał raport Międzynarodowej Organizacji Pracy – znakomite dokonanie obnażające ówczesną sytuację w Polsce przez międzynarodową organizację zajmującą się sprawami robotników – to też wypadnie nam jeszcze skomentować. Obie biografie można byłoby opowiadać w szczegółach jeszcze długo, ale poprzestańmy na tym – to wystarczy, aby zasygnalizować, że nie można nic tym życiorysom zarzucić, jeśli chodzi o ich egzamin z patriotyzmu. A każde z nich definiowało ten patriotyzm na inny sposób. Zacznijmy od ojca Bocheńskiego. W filmie, który można obejrzeć w Internecie, zatytułowanym „Mistrz życia” i zrealizowanym jeszcze w 1987 roku, Bocheński mówił o patriotyzmie mniej więcej tak: patriotyzm nie jest zabobonem, ale z nim związane są dwa zabobony. „Jeden z nich to jest nacjonalizm, który każe nie tylko kochać swój kraj, ale robi z niego coś wyłącznie jedyne i każe odnosić się z pogardą czy nawet nienawiścią do innych – to nie jest to samo, co patriotyzm. A drugi zabobon, bardzo dziś rozpowszechniony, moim zdaniem dużo gorszy, to jest przeciwieństwo tego pierwszego. To jest pogląd, że człowiek nie ma prawa kochać swoją ojczyznę bardziej niż inne. [...] Jest rzeczą jasną, że mamy obowiązek kochać wszystkich ludzi, ale [...] gdy jesteśmy zmuszeni do wyboru, powinniśmy dać pierwszeństwo swojemu rodakowi. Otóż dzisiaj doszło do tego, że każdy, kto ośmieli się powiedzieć, że bardziej woli Polaka od powiedzmy człowieka z Ekwadoru czy z Wietkongu, mówi się, że jest rasistą. [...] Miłość do swoich rodaków nie jest czymś złym, jest czymś dobrym. Dopiero tam, gdzie się innych nienawidzi, nie ma się dla nich żadnych względów, to zaczyna być rzecz zła”. Konkluzja:

zabranianie własnym rodakom miłości ojczyzny jest groźnym zabobonem. Ten nieco długi fragment wymagałby oczywiście komentarza. Sporo takich komentarzy można znaleźć również w Internecie, m.in. dotyczących ewolucji poglądów Bocheńskiego na pojęcie nacjonalizmu, który przed wojną dopuszczał. Niestety głosy te ignorują prostą logiczną prawdę wypowiedzianą przez tego głęboko chrześcijańskiego myśliciela: miłość ojczyzny, miłość rodaków jest czymś dobrym, jak miłość bliskich, ale nienawiść obcych jest czymś złym. Koniec, kropka. Jest to myśl głęboko chrześcijańska i przywołana została nie tak dawno przez polski episkopat w ważnym dokumencie na temat patriotyzmu. Tyle, że ta myśl Bocheńskiego może budzić sprzeciw zarówno tych, którzy mają obecnie „alergię” na patriotyzm, jak i tych, którzy patriotyzmu używają jako oręża politycznego. A przecież myśl logika jest prosta i pozwala przywrócić odpowiednie znaczenie słowom. To bardzo istotne we współczesnej debacie.

A teraz Krystyna Marek. Na początek wyobraźmy sobie dwudziestopięcioletnią dziewczynę, która w wrześniu 1939 roku opuszcza ukochany Kraków i zaczyna do niej docierać, że może już nie być jej dane do niego szybko wrócić. Dziewczynę solennie wykształconą w polskich i szwajcarskich szkołach. W jej dzienniku, zachowanym właśnie w Rapperswilu, pod datą 9 września 1939 r. (sobota), czytamy: „Przypominają mi się rozmowy z Jerzym Stempowskim i Tadeuszem [bratem – S.ł.] o wstydlivości. I w związku z tym nasuwa mi się, że u Wyspiańskiego nie pada słowo Ojczyzna. Powinno być to słowo na co dzień zakazane. Niech go nie mówią profani, niech nie obrzydzą go dzieciom szkolnym – niech je mówią ludzie samotni cicho, cichutko, jak się może w najgłębszym zawstydzeniu mówi bliskiemu człowiekowi, że się go kocha”. To obraz zupełnie inny, niepozbawiony emocji, powiedzielibyśmy – niewyrozumowany, jak u Bocheńskiego. Jeśli jednak zestawimy to chociażby z opisanymi wyżej fragmentami życia autorki słów, to czy można jej zarzucić, że nie była patriotką? Czy postawa, w której świadomie, czy pod wpływem literatury unikała patriotycznych wzniosłości, ale miłości ojczyzny dowodziła życiem, nie jest godna szacunku? Czy wykonywanie dobrze swoich obowiązków w czasie wojny, świetna edukacja i pozycja w świecie nauki nie są wystarczającym przejawem patriotyzmu? Dodajmy do tego w przypadku Krystyny Marek niesamowitą skromność – pewnie obruszyłaby się za te słowa. Kiedy otrzymywała w 1957 roku nagrodę Stowarzyszenia Polskich Kombatantów za znakomitą książkę traktującą o uznawaniu państw (ich istnienia i kontynuacji) w prawie międzynarodowym, pisała do gen. Kukiela i członków stowarzyszenia o dylemacie, który towarzyszył jej pracy – zbieżności jej badań z zapotrzebowaniem wynikającym z sytuacji rządu polskiego na uchodźstwie. I pisała tak: „Nie będę ukrywała niebezpieczeństw takiej zbieżności. Może na niej łatwo ucierpieć albo uczciwość intelektualna, albo wola służenia swojemu krajowi. Mogę dzisiaj ze spokojnym sumieniem stwierdzić, że konflikt taki został mi oszczędzony. Moje opracowanie sprawy polskiej nie zostało okupione ani pogwałceniem uczuć, ani sacrificium intellectus. Nie jest moją rzeczą sądzić, czy opracowanie jest dobre i przekonywujące. Jest moim prawem twierdzić, że jest uczciwe”. Czyż owa uczciwość, na której jej tak zależało, nie jest jednocześnie oznaką patriotyzmu? Zagrożenie, które przeczuwała, było jasne – napisanie książki pod tezę, np. że rząd emigracyjny jest legalny, a ten w Warszawie nie – nie sprawiłoby jej przecież żadnej trudności. Tyle, że to byłby poziom propagandy. Przeprowadzenie badania (dokumentacji) i rozumowania, które dało taki wynik – to była postawa uczciwa. Obawa, która

nią targała, podpowiadała jej, że nie może znać wyniku badania zawczasu. A zatem i wynik badania mógł być inny... Wreszcie sprawa jej pomocy dla „Solidarności” – również tutaj jej postawa była zaskoczeniem. Po sukcesie postępowania przed Międzynarodową Organizacją Pracy padły propozycje uhonorowania jej. Odmówiła. Do Anieli Mieczysławskiej pisała 19 VII 1984 roku: „Merytorycznie: zrobiłam dla wspólnej sprawy znacznie mniej, niż mi się to przypisuje. Za ten mój wkład zostałam więcej niż sowicie wynagrodzona jakże dobrymi słowami Pana Prezydenta [Kazimierza Sabbata- S.ł.], kwiatami od »Solidarności« i przedrukami moich prac w prasie podziemnej[chodziło m.in. o jej tekst o Jałcie – S.ł]. Jest to wszystko więcej, niż mi się należy i na tem już musimy poprzestać”. Sztuka skromności, człowieka, który zrobił to, czego inni nie mogliby uczynić – z braku wiedzy i kompetencji do przeprowadzenia takiej akcji. Ile dla wyrażenia patriotyzmu może znaczyć właśnie spokojne, racjonalne myślenie jak o. Bocheńskiego czy skromność i budowanie swoich kompetencji, których w określonym momencie można mądrze użyć.

I wreszcie pytanie na koniec: jak ta rapperswilska lekcja patriotyzmu ma się do współczesnych manifestacji patriotycznych? Czy dla kogoś obecnie opisane wyżej postawy mogą wydać się atrakcyjne? Liczę, że tak. I mam nadzieję, że mamy w Polsce wielu patriotów, którzy nie afiszując się ze swoim patriotyzmem, gdy będzie tego potrzeba, po prostu go okażą. Oby ci, którzy dzisiaj tak żywo o nim rozprawiają, mieli również czym się wykazać w chwili próby. A nie musi to być próba krwi.

Rapperswil, 4 sierpnia 2017 r.

[LAUDIATIO dla Profesora Timothy Snyder](#)



JAN POMORSKI

LAUDATIO

**Wasza Magnificencjo Rektorze,
Prześwietny Senacie Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej,
Dostojni Goście,
Drogi Profesorze Snyder!**

Dziś historycy mają swoje wielkie święto. Oto jeden z najwybitniejszych przedstawicieli naszej profesji – profesor Timothy Snyder z Yale University – zostanie wyróżniony doktoratem honorowym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

W wydanej 2009 roku *70. Księga Urodzinowa dla Normana Daviesa / 70. A Birthday Book for Norman Davies* znalazłem takie zdanie autora *Bożego Igrzyska* o naszym dzisiejszym bohaterze:

Timothy Snyder, którego miałem przyjemność egzaminować podczas obrony doktorskiej, dowiódł, że należy do najbłyskotliwszych przedstawicieli młodego pokolenia badaczy historii wchodnioeuropejskiej. Ogromny talent łączy z osobistą skromnością i śmiałym piórem. Chodzą słuchy, że jest najbardziej oczywistym kandydatem na mojego następcę – jeśli tak się stanie, będę mógł jedynie przyklasnąć. (s. 174)

Profesor Davies dostał swój pierwszy doktorat honorowy właśnie na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie równo 25 lat temu, dziś swój pierwszy doktorat w tym samym miejscu odbierze Profesor Snyder. Zbieżność miejsca nie jest więc przypadkowa, a samo nawiązanie ma wymiar symboliczny. Obydwu badaczom Polska, polski świat nauki historycznej i nasz uniwersytet wiele zawdzięczają. I obydwu mamy przyjemność gościć dziś ponownie wśród nas.

Przywoływana przeze mnie kategoria zbieżności *versus* rozbieżności miejsca, czasu i akcji to przede wszystkim narzędzia analizy historycznej stosowane w historii porównawczej i w historii transnarodowej. W obydwu dziedzinach Profesor Snyder jest uznanym autorytetem. O związkach Snydera z historią Polski można opowiadać na wiele sposobów i analizować je na wielu poziomach. Właściwie każda z jego książek i większość artykułów zawiera jakieś bezpośrednie odwołanie czy inspirację lub choćby tylko trop polski. Bardzo mocno podkreślali to recenzenci w postępowaniu o nadanie Snyderowi doktoratu honorowego, profesorowie Andrzej Paczkowski, Dariusz Stola i Janusz Wrona. Dlatego pozwolę sobie zwrócić uwagę na nieco inne aspekty twórczości dzisiejszego laureata.

Wydarzenia historyczne są oglądane przez niego *in statu nascendi*, odsłaniają „logikę decyzji”, czyli prawdziwe wybory, przed jakimi stoi *homo historicus* – człowiek jako sprawca historii. Dla Snydera analityka historii współczesnej, jakim jest w swej ostatniej książce, „Droga do zniewolenia: Rosja, Europa, Ameryka” (Snyder 2018), sprowadza się to każdorazowo do wyboru między sześcioma alternatywnymi możliwościami, przed jakimi stoimy, chcąc tworzyć przyszłe dzieje.

Jest to, po pierwsze, **wybór między indywidualizmem a totalitaryzmem**, czyli między systemem politycznym, w którym życie każdego człowieka i prawa jednostki są wartościami najwyższymi, a takim, w którym są one podporządkowane władzy totalitarnej, rządzącej rzekomo w imię suwerena. Po drugie, jak patrzymy na historię: czy naszą przyszłość chcemy budować na **sukcesji** tego, czego dokonały poprzednie pokolenia, czy też **przeszłość to ciąg porażek**, od których należy się uwolnić?

Po trzecie, stajemy wobec wyboru między rozwojem opartym na większej **integracji** a rozwojem opartym na **imperialnych interesach**. Po czwarte, czy przyszłość to tylko **realizacja odwiecznych planów**, na które nie mamy wpływu, czy też przeciwnie, wiele zależy od naszej **zdolności do bycia nowoczesnymi**, odkrywania czegoś nowego? Opowiedzenie się za **wiecznością** prowadzi bezpośrednio do „końca historii” czy „świata bez historii”. Do apatii, wynikającej z pogodzenia się z historią jako czymś, na co nie możemy mieć wpływu, czymś nieuchronnym. Odrzucenie obydwu mitów: wieczności i nieuchronności, oznacza powrót do myślenia historycznego, do świata z historią. Daje szansę/nadzieję na zmianę istniejącego stanu rzeczy, na który się nie godzimy.

Po piąte, stoimy przed alternatywą: **albo w życiu publicznym opowiadamy się za prawdą, albo za kłamstwem** (postprawdą). Tu też musimy się jednoznacznie samookreślić. Trzeciej drogi nie ma! I po szóste wreszcie, chodzi o to, **czy opowiemy się za systemem społecznym opartym na zasadach równości czy też zgodzimy się na oligarchię**.

Za tymi alternatywami kryją się określone strategie, wyrastające z przeszłości i nakierowane na przyszłość. Ich poznawcze rozpoznanie i rozpracowanie (dekonstrukcja) – oto cel, jaki przed sobą postawił Timothy Snyder. Laudacja jest doskonałą okazją, aby opowiedzieć szerszej publiczności o tych dokonaniach Profesora Snydera w obrębie nauki historycznej i o lekcjach, jakie wyciąga on z europejskiej historii.

Jego ostatnia książka jest próbą odczytania tego, co przydarzyło się Rosji, Europie i Ameryce w ciągu ostatniej dekady, ale przede wszystkim jest opowieścią o tym, że jako społeczeństwo nie odrobiliśmy lekcji, jaką zostawiła ludzkości historia wieku XX. *The Road to Unfreedom* jest próbą pokazania, jak ten deficyt wiedzy i myślenia historycznego ciąży nad współczesną polityką i prowadzi Rosję, Europę i Amerykę prostą drogą do zniewolenia przez nową formę tyranii. To Orwellowski świat do potęgi, świat zniewolonych umysłów, gdzie historia nie jest już formą samowiedzy i autorefleksji społeczeństwa, lecz tylko grą rządzących prowadzoną na emocjach społecznych i mitach historycznych suwerena.

Czytając Snydera, tę lekcję historii odrabiamy. To lektura fascynująca intelektualnie, historiografia najwyższej próby, podana doskonałym językiem. Opowiedzieć o tym, w krótkiej laudacji – to prawdziwe wyzwanie. „Snyder w pigułce” czy, jeśli ktoś woli, „ściągawka ze Snydera” nie zastąpią rzecz jasna bezpośredniego spotkania z Jego twórczością. Moim celem jest tu zatem jedynie dać próbkę talentu Profesora, by zachęcić w ten sposób do niespiesznego delektowania się wyrafinowanym smakiem Jego książek.

Pytanie, jak należałoby mówić o współczesnej historii europejskiej, by bronić się przed zniewoleniem „złą historią”, przewija się właściwie przez całą twórczość Timothy’ego Snydera. W jednej ze swych pierwszych książek, *Czerwonym Księciu*, tak na nie odpowiadał:

Narody stoją twarzą ku przyszłości. Tworzy się ona i zmienia każdego dnia. Jeśli wierzymy, że naród ma swoje miejsce w uporządkowanych podręcznikach historii, danej nam przez naszych przywódców, nasza historia dobiega końca. (Snyder 2010, s. 276)

Ale Snyder nie wierzy w „koniec historii”, wie, że – wbrew Fukuyamie – dzieje piszą się nadal. Wie, że walka, o której opowiadał, przywołując losy Kazimierza Kelles-Krauza, Henryka Józewskiego czy Wilhelma von Habsburga, bohaterów trzech jego książek biograficznych, walka o upodmiotowienie człowieka jako sprawcy historii, czyli twórcy swej tożsamości społecznej i narodowej, demokracji, a finalnie i samej historii, jest ciągle niezakończona. Powiada metaforycznie:

Wszyscy obywatele decydują w jakimś zakresie, przynajmniej w demokracjach, gdzie ich głosy się liczą, o tym, w jaki sposób należą do swoich narodów. Może mieliby więcej zaufania do niekonwencjonalnych wyborów, gdyby zobaczyli, że twórcy każdego narodu byli zbuntowanymi i nieprzewidywalnymi ludźmi obdarzonymi wyobraźnią i ambicją. Stał każdego pomnika narodowego kiedyś została wytopiona. (tamże)

Bohaterowie jego opowieści, Kelles-Krauz, Józewski i Wilhelm von Habsburg, nie byli pierwszoplanowymi postaciami historii XX stulecia, ale zasłużyli sobie przynajmniej na pomniki historiograficzne. I Timothy Snyder je dla nich zbudował, dedykując każdemu osobną książkę.

Na pomnik historiograficzny, czytaj: monografię, zasługiwało też samo konstruowanie nowożytnego narodu w czasach I Rzeczypospolitej: proces długiego trwania – Braudelowskie *la longue durée*, o którym amerykański historyk opowiedział w formie transnarodowej metanarracji historycznej w *Rekonstrukcji narodów* (Snyder 2009). To za tę książkę Profesor został laureatem nagrody naukowej im. Jerzego Giedroycia, ustanowionej przez Senat UMCS.

Punktem wyjścia tej opowieści jest myśl równie genialna co prosta, wyrażona w postaci jednego lapidarnego zdania: „Jako całość książka ta ukazuje **nowożytny naród polski i jego licznych nowoczesnych sukcesorów**” (tamże, s. 21). Litwini, Ukraińcy, Białorusini i sami Polacy wreszcie są sukcesorami tego, co zostało wytworzone jako nowożytny naród polski, w którym nie etniczność/narodowość, lecz obywatelskość była podstawą przynależności do narodu politycznego. Jeśli dodamy do tego jeszcze jedną aksjologiczną deklarację Snydera: „Naród nie jest tutaj ani przedmiotem wiary, ani drwiny, ale przedmiotem badań” (tamże, s. 23), to otrzymamy spójną koncepcję tego, czym jest dziedzictwo unii lubelskiej. Pisze Snyder:

Owemu nowożytnemu narodowi nadano miano „polskiego”, ale ów termin oznaczał bardziej obywatelstwo i cywilizację niż przynależność do jakiegóż grupy etnicznej. Wychodząc od roku 1569, możemy zrozumieć

spójność i siłę nowożytnego narodu polskiego, możemy też uwolnić się od własnych, nowoczesnych założeń co do tego, z czym narodowość musi się wiązać. (tamże, s. 15, podkreślenia moje – J.P.)

Historia transnarodowa w wydaniu Timothy'ego Snydera wchodzi w nowy wymiar nie tylko na poziomie poznawczym, lecz także na poziomie społecznej odpowiedzialności historyka wobec wyzwań współczesności. Nie może on nie zabierać głosu, milczeć, gdy dostrzega w dniu dzisiejszym niebezpieczne paralele historyczne. „Czy umarli mogą naprawdę należeć do kogokolwiek?” (Snyder 2011, s. 438) – pyta w kontekście sporów o politykę pamięci.

Reżimy nazistowski i sowiecki zamieniły ludzi w liczby, spośród których część możemy tylko szacować, część umiemy zaś odtworzyć ze sporą precyzją. Jako naukowcy musimy określić te liczby i przedstawić je we właściwym kontekście. Jako humaniści musimy nadać im z powrotem ludzki wymiar. Jeżeli zadanie to się nie powiedzie, oznaczać to będzie, że Hitler i Stalin ukształtowali nie tylko nasz świat, ale i nasze człowieczeństwo. (tamże, s. 440)

Historyk nie może poprzestać na samym udokumentowaniu, wyliczeniu miejsc zbrodni i prostym opisie, kto ich dokonał, ile osób stracono i w jaki sposób. To ważne, ale niewystarczające. Jeśli w obliczu takiego porażającego, nawet po tylu latach, doświadczenia chcemy zachować człowieczeństwo, musimy przywrócić opisywanym wydarzeniom z powrotem **ludzki wymiar**.

*Ofiary pozostawiły po sobie żałobników. Zabójcy pozostawili liczby. Dołączenie po śmierci do wielkiej liczby oznacza rozplątanie się w strumieniu anonimowości. Pośmiertny zaciąg do rywalizujących stronnictw pamięci narodowej umacnianej liczbami, do których zaliczono czyjeś życie, oznacza utratę indywidualności. [...] **Każde istnienie ludzkie jest nieredukowalne** [podkreślenie moje – J.P.]. [...] Nawet więc, gdy znamy poprawne liczby, musimy dołożyć wszelkiej staranności. Prawidłowa liczba nie wystarcza. Każdy zapis śmierci sugeruje niepowtarzalne życie. Musimy nie tylko określić liczbę zabitych, lecz wyliczyć z osobna każdą ofiarę jako człowieka.* (tamże, s. 439)

Właśnie to decyduje o etycznym wymiarze pracy historyka, o jego humanistycznej formacji. Dlatego Snyder humanista tak unika generalizowania, okrągłych liczb, woli pisać o 780 863 zamordowanych w Treblince, bo ta trójka na końcu może symbolizować konkretne życie ludzkie: pojedyncze losy, dobrze ilustrujące tragedię, która stała się udziałem setek tysięcy. Anonimowe postaci z przedmowy do *Skrwawionych Ziem* odzyskują twarze w zakończeniu zatytułowanym nieprzypadkowo „Człowieczeństwo”. Pisze Profesor:

Tutaj tkwi być może cel historii – gdzieś pomiędzy odnotowywaniem śmierci a jej nieustanną reinterpretacją. Jedyne historia masowego zabijania może połączyć w jedno liczby ze wspomnieniami. Bez historii wspomnienia stają się prywatne, co oznacza dzisiaj – narodowe, a liczby stają się publiczne, czyli służą za instrument międzynarodowej rywalizacji o tytuł męczenników. (tamże, s. 433)

Ten wyjątkowy humanizm Snydera przejawia się także w praktykach narracyjnych, w samym sposobie pokazywania najbardziej traumatycznych doświadczeń. Z tysięcy ludzkich losów składających się na Holokaust czy Hołodomor potrafi się skupić na pojedynczej scenie, zatrzymanym w kadrze obrazie, który przejmująco ilustruje tragedię będącą udziałem milionów: oto niemowlę ssące pierś umarłej matki czy płaczące z głodu dzieci, które nagle milkną, przysysając się do ran umierającego braciszka...

Lub scena z Babiego Jaru pod Kijowem: „Naga matka karmiła piersią niemowlę, wiedząc, że to już ostatnie sekundy życia. Gdy dziecko wrzucono żywcem do jaru, skoczyła za nim, znajdując tam śmierć. Dopiero leżąc w wykopie – pisze Snyder – ludzie stawali się niczym, liczbą, która wyniosła 33 761. (tamże, s. 227)

Czasem wystarczy tylko przywołać źródło historyczne, by samo przemówiło. Siła rażenia może być ogromna. Oto przykład, jakiego użył Snyder, by zilustrować codzienność oblężonego Leningradu, pochodzący z dziennika lekarki Wiery Kostrowickiej:

Na śniegu siedzi, opierając się o słup, wysoki mężczyzna. Na sobie ma łachmany, na ramionach plecak. Kuli się przy słupie. Sądzę, że szedł na Dworzec Fiński, zmęczył się i przysiadł. Przez dwa tygodnie, idąc i wracając ze szpitala, widziałam, jak „siedzi”:

- 1. bez plecaka*
- 2. bez łachmanów*
- 3. w bieliźnie*
- 4. nagi*
- 5. szkielet w wyprutymi wnętrzościami. (tamże, s. 197)*

Snyder jako historyk XX wieku ma świadomość ograniczeń wiążących się z perspektywą narodową czy państwową, z której oglądane są dzieje. Unika jej, poszukując własnej drogi. „Skrwawione Ziemie” (*Bloodlands*) i „Czarna Ziemia” (*Black Earth*) są dla niego **nazwami własnymi*** określonej przestrzeni, potraktowanej **podmiotowo**. Co to znaczy? Że przestrzeń jest tu niezwykle ważna: to właśnie ta konkretna Przestrzeń zostaje obsadzona w historycznej roli, staje się główną areną dramatu dziejowego – Ziemią Skrwawioną. Z kolei Czarna Ziemia to świat po Holokauście, świat bez Żydów, którzy przez wieki byli współgospodarzami tej Przestrzeni, byli tu „sąsiadami” innych narodów, z którymi dzielili Historię. A dziś są w tej Przestrzeni Wielkim Nieobecny... „Skrwawione ziemie nie stanowiły realnego ani wymyślanego terytorium politycznego – był to po prostu obszar, gdzie najbardziej zbrodnicze reżimy Europy dokonały swoich najbardziej morderczych czynów” (tamże, s. 19) – konstatuje Snyder.

W sensie przestrzennym ta historia dzieje się na ziemiach rozciągniętych „pomiędzy”. Dlatego przy konceptualizacji przedmiotu badań Snyder nie operuje pojęciem Europy Środkowo-Wschodniej, nazwami państw, lecz neutralnym „ziemia”: „ziemie, które spłynęły krwią w latach 1933–1945”, „Skrwawione Ziemie”, „Czarna Ziemia”. Pisze: „Większość miejsc mordy znalazła się na skrwawionych ziemiach: w kategoriach geografii politycznej przełomu lat

trzydziestych i czterdziestych oznaczało to Polskę, kraje bałtyckie, sowiecką Białoruś, sowiecką Ukrainę oraz zachodni kraniec sowieckiej Rosji” (tamże, s. 13). Nie o dookreślenie konkretnego obszaru geograficznego jednak tu w istocie chodzi, lecz o odpowiedź na nurtujące nas pytanie, dlaczego właśnie tu było to możliwe?

Okrucieństw tych dopuszczono się we wspólnym miejscu i czasie: na skrwawionych ziemiach w latach 1933–1945. Opis ich przebiegu stanowi przedstawienie jednego z najważniejszych wydarzeń w dziejach Europy. Bez osadzonego we wspólnym europejskim kontekście historycznym opisu wszystkich masowych zabójstw paralele pomiędzy nazistowskimi Niemcami a Związkiem Radzieckim są z konieczności ułomne. (tamże, s. 410)

A bez takich badań porównawczych nad praktykowaniem przemocy przez obydwa systemy nie uda się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego było to w ogóle możliwe i dlaczego właśnie tu: **na tych ziemiach****.

W odpowiedzi Snyder wskazuje na **nieobecność państwa**, formułując następującą prawidłowość ramową: **zbrodnie ludobójstwa były/są możliwe tam, gdzie zabrakło/zabraknie instytucji państwa**.

Pisze: „eliminacja polskiej państwowości na początku wojny miała kluczowe znaczenie dla przebiegu całego Holocaustu, ponieważ właśnie na okupowanym terytorium Polski, w specjalnej strefie kolonialnej Niemiec, można było zlokalizować miejsca zagłady” (Snyder 2015, s. 295). Zauważa także, że poza samym Holocaustem „najważniejsze niemieckie masowe zbrodnie, czyli głodzenie jeńców oraz mordowanie cywilów – głównie Białorusinów, Polaków, Cyganów – również dokonały się niemal bez wyjątku w strefach bezpaństwowych. Te działania łącznie zabiły mniej więcej tyle samo ludzi, co Holocaust i realizowano je lub można je było realizować tylko w tych samych miejscach. Tam, gdzie państwa nie zniszczono, takie skrajności były niemożliwe” (tamże, s. 290–291).

A czym jest tytułowe **Ostrzeżenie z Czarnej Ziemi**?

Jest przekazem niezwykle mocnym, choć podawanym nie wprost, lecz budowanym stopniowo, by końcowa fraza zabrzmiała jeszcze wymowniej:

Gustaw Herling-Grudziński, który przetrwał stalinowski GUŁag, podczas gdy jego brat chronił Żydów, napisał, że „człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach”. Zadaniem państwa jest zapewnienie takich warunków, aby jego obywatele nie musieli postrzegać własnego przetrwania jako jedyne go celu. Zadaniem państwa jest też uznanie praw, aprobatą dla nich i ich ochrona, a to oznacza stworzenie warunków, w których prawa mogą być uznawane, aprobowane i chronione. Państwo musi być w stanie trwać, aby stworzyć poczucie trwałości. (tamże, s. 440)

Gdy państwa zabraknie, gdy instytucje państwowe są niszczone, może się zdarzyć wszystko, ostrzega Snyder.

W większości sądzymy, że posiadamy [...] „instykt moralny” i „ludzką

dobroć”; być może wyobrażamy sobie, że w przyszłej katastrofie ratowalibyśmy ludzi. Gdyby jednak państwa zostały zniszczone, lokalne instytucje uległy rozkładowi, a bodźce ekonomiczne popychały nas do mordu, niewielu spośród nas postępowałoby właściwie. Nie ma powodu sądzić, byśmy byli lepsi etycznie od Europejczyków z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku bądź mniej podatni na idee pokroju tych, które tak skutecznie głosił i zrealizował Hitler. Jeśli poważnie myślimy o naśladowaniu ratujących, powinniśmy z wyprzedzeniem stworzyć struktury, które nam to ułatwią. Zatem ratunek w tym ogólnym znaczeniu wymaga dogłębnego zrozumienia idei, które rzuciły wyzwanie tradycyjnej polityce i otworzyły drogę do bezprecedensowej zbrodni. (tamże, s. 414)

Niestety, współczesne społeczeństwa cierpią na deficyt myślenia historycznego. Miotają się pomiędzy „polityką nieuchronności” a „polityką wieczności”. „Jedno jest pewne: jeżeli młodzi ludzie nie zaczną tworzyć historii, politycy wieczności i nieuchronności ją zniszczą. Aby zaś tworzyć historię, młodzi Amerykanie [Europejczycy/Polacy, chciałoby się dodać – J.P.] muszą ją poznać. To nie jest koniec, ale początek” (Snyder 2017, s. 127–128). To bardzo przenikliwa diagnoza naszej współczesności. Także polskiej. Gdy zaniedba się edukację obywatelską, której historia jest bardzo ważną częścią formacyjną, doczekamy się młodego pokolenia nie tylko obojętnego na dobro wspólne, lecz także nieprzygotowanego do radzenia sobie z ewentualnymi zagrożeniami płynącymi zarówno z zewnątrz, jak z wewnątrz. Edukacja obywatelska, głupcze! – chciałoby się zatem zawołać.

W książce *O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku* Snyder mówi nam wprost:

To instytucje pomagają nam zachować przyzwoitość. One też potrzebują jednak naszej pomocy. Nie mów o „naszych instytucjach”, jeśli nie przychodzisz od słów do czynów i nie działasz na ich rzecz. Instytucje nie obronią się same. Jeżeli nie będziemy chronić każdej z nich od samego początku, runą jedna po drugiej. Wybierz zatem instytucję, na której ci zależy – sąd, gazetę, ustawę czy związek zawodowy – i stań po jej stronie. (tamże, s. 23)

Wybitny polski i europejski intelektualista – także doktor honorowy Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (2004) – Krzysztof Pomian powiedział kiedyś: „Bycie historykiem nie jest czymś przyznanym raz na zawsze wraz z dyplomem ukończenia odpowiednich studiów. Bycie historykiem musi zyskać za każdym razem potwierdzenie zajmowaną postawą poznawczą i moralną” (Pomian 2014, s. 35). Profesor Timothy Snyder jest tej dewizy najlepszym ucieleśnieniem! Dziś dołącza do grona naszych doktorów honorowych i jesteśmy z tego powodu – jako wspólnota akademicka Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie – bardzo dumni!

Korekta językowa: Beata Bińko

Przypisy:

* Z tego względu w języku polskim oba człony nazwy powinny być konsekwentnie pisane wielką literą, czego wydawcy, niestety, nie respektują.

** „Niemcy dokonywali masowych mordów na Żydach w okupowanej Polsce, na Litwie, Łotwie i w Związku Radzieckim, **ale nie w samych Niemczech** [podkreślenie moje – J.P.]” (Snyder 2011, s. 8).

Bibliografia:

70. *Księga Urodzinowa dla Normana Daviesa / 70. A Birthday Book for Norman Davies*, Znak, Kraków 2009.

Pomian Krzysztof, *Historia dziś*, w: *Historia – dziś. Teoretyczne problemy wiedzy o przeszłości*, red. Ewa Domańska, Rafał Stobiecki, Tomasz Wiślicz, Universitas, Kraków 2014.

Snyder Timothy, *Czarna Ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2015.

Snyder Timothy, *Czerwony Księżę*, tłum. Maciej Antosiewicz, Świat Książki, Warszawa 2010.

Snyder Timothy, *O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2017.

Snyder Timothy, *Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569–1999*, tłum. Magda Pietrzak-Merta, Pogranicze, Sejny 2009.

Snyder Timothy, *The Road to Unfreedom: Russia, Europe, America*, Tim Duggan Books, New York 2018.

Snyder Timothy, *Skrwawione Ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Świat Książki, Warszawa 2011.

**Wspólne dziedzictwo. Річ Посполита
обох народів в польській і українській
історичній думці XIX і XX w.**



**MAŁGORZATA CHOMA-JUSIŃSKA
EWA SOLSKA**

Wspólne dziedzictwo. Rzeczpospolita Obojga Narodów w polskiej i ukraińskiej myśli historycznej XIX i XX w. (Drohobycz, 27-28 września 2018 r.)

Спільна спадщина. Річ Посполита обох народів в польській і українській історичній думці XIX і XX w. (Дрогобич, 27-28 вересня 2018 р.)

W dniach 27–28 września 2018 r. odbyła się w Drohobyczu międzynarodowa konferencja naukowa pt. „Wspólne dziedzictwo. Rzeczpospolita Obojga Narodów w polskiej i ukraińskiej myśli historycznej XIX i XX w.”; organizatorem zjazdu był Drohobycki Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny im. Iwana Franki. Tematyka konferencji, wpisanej w cykl statutowych działań Towarzystwa Historiograficznego, koncentrowała się wokół dziejów historiografii, historii idei, teorii historii i metodologii nauk historycznych. W obradach uczestniczyło ponad osiemdziesięciu badaczy i nauczycieli akademickich reprezentujących różne ośrodki naukowe w Polsce i Ukrainie, m.in. Uniwersytet Gdański, Uniwersytet Łódzki, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Rzeszowski, Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Instytut Sławistyki Polskiej Akademii Nauk, Czarnomorski Narodowy Uniwersytet im. Piotra Mohyły w Mikołajowie, Lwowski Uniwersytet Narodowy im. Iwana Franki, Czerkaski Uniwersytet Narodowy im. Bohdana Chmielnickiego, Dnieprzański Uniwersytet Narodowy Uniwersytet im. Olesia Honczara, Wschodnioeuropejski Narodowy Uniwersytet im. Łesi Ukrainki w Łucku, Umański Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny im. Pawła Tyczyny, Doniecki Uniwersytet Narodowy im. Wasyla Stusa w Winnicy oraz Dniepropietrowskie Narodowe Muzeum Historyczne im. D.I. Jawornickiego.

27 września uczestnicy konferencji spotkali się na sesji wprowadzającej, następnego dnia obradowali w czterech równoległych sekcjach panelowych. Referenci prezentowali zagadnienia odzwierciedlające aktualne obszary badawcze i edukacyjne historiografii polskiej i ukraińskiej. Podjęli próbę ukazania ciągłości i zmian w ujęciach interpretacyjnych, w analizie dawnych szkół i obecnych orientacji oraz przybliżenia charakterystycznych nurtów i tendencji w kontekście współczesnej humanistyki. Istotnym przedmiotem

zainteresowań badawczych okazała się przy tym nie tylko historiografia poszczególnych aspektów dziedzictwa prawno-politycznego i kulturowego I Rzeczypospolitej, lecz także aktywność polskich i ukraińskich środowisk naukowych prowadzących badania nad tą problematyką, przede wszystkim historyków lwowskich i krakowskich oraz odnośna działalność towarzystw naukowych.

Ważnym obszarem badań w tym zakresie prezentowanym przez prelegentów jest piśmiennictwo dotyczące wymiarów funkcjonowania Rzeczypospolitej Obojga Narodów, począwszy od zagadnień prawno-ustrojowych po kwestie szeroko pojętej kultury i obyczajów, także w kontekście mitologizacji, polityki historycznej i polityki pamięci. Omawiano przy tym koncepcje interpretacyjne czynników rozwoju struktur i przyczyny upadku państwowości, oscylując wokół tradycyjnych sporów historiograficznych i kwestii, jak pisać, rozumieć i przepracowywać te dzieje. Referenci przedstawili dyskusje dotyczące wydarzeń i zjawisk uważanych za konstytutywne, m.in. Unii lubelskiej, ugody w Hadiaczu, formacyjnej roli społeczności Kozaków czy mitu kresowego. Poruszono kwestię słowiańskości oraz relacji polsko-litewskich w myśli historycznej wybranych badaczy i publicystów. Nie zabrakło tradycyjnych portretów historiograficznych postaci i rodów uznawanych za inspiratorów zdarzeń i fundatorów *modum vivendi*, m.in. Stefana Batorego, Iwana Mazepy, Bohdana Chmielnickiego i Tadeusza Kościuszki. Zainteresowaniem cieszyła się problematyka dotycząca oddziaływania kościołów chrześcijańskich na procesy polityczne i społeczne, w tym ich znaczenie jako czynnika kształtującego lokalne stosunki w wiekach późniejszych, aż do czasów współczesnych. Nie zabrakło analizy wydarzeń XX-wiecznych, które zdynamizowały przemiany i określiły kierunek tych procesów na obszarach dawnej Rzeczypospolitej. Znalazło to odzwierciedlenie w bloku referatów prezentujących współczesną historiografię poświęconą zagadnieniom okresu I wojny światowej, kształtującym historię Polaków i Ukraińców w relacjach wzajemnych, m.in. istnieniu Ukraińskiej Republiki Ludowej w latach 1917–1921. Pokazano, choć wrywkowo, jak argument dawnej wspólnoty dziejów wykorzystywano we współczesnych rozgrywkach geopolitycznych i etnopolitycznych; sygnalizował to m.in. referat na temat uzasadnienia przynależności Śląska do Polski w historiografii lat 40. i 50. XX w. Także doświadczenia II wojny światowej i politycznego podziału świata po 1945 r. miały istotny wpływ na wizje i interpretacje historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów, co rekonstruowała analiza myśli historycznej i politycznej polskich i ukraińskich emigrantów. Wśród poruszanych zagadnień znalazła się m.in. publicystyka „Rocznika Europy Środkowo-Wschodniej”, jednego z najważniejszych periodyków, w których historia i współczesne problemy Polski i Ukrainy zajmują kluczowe miejsce.



Prelegenci skupili się na zagadnieniach istotnych dla historii Polski i Ukrainy. Omawiali poszczególne przypadki, wśród których znalazło się kilka niekonwencjonalnych ujęć, ale unikali wyraźnego zderzenia odmiennych interpretacji obecnych w historiografii polskiej i ukraińskiej. Inicjujące zwłaszcza przy studiach problemów starcie perspektyw badawczych, w odniesieniu np. do orientacji postkolonialnej czy historii mniejszości, a także stałe w tym układzie tematy politycznie i etycznie „niewygodne” marginalizowano. W efekcie mieliśmy tu raczej dyskurs dwóch nurtów historiografii akademickich, które, mimo świadomych i planowych zapewne podejść metodologów w próbach sprowokowania konfrontacji, unikają przecież, powodujących ryzykowny dla wygodnego skanalizowania badań ferment i rewizjonizm. Tymczasem takie przecięcia wprowadziłyby ów dyskurs na nowe, wciąż nieobecne czy pomijane obszary nauki historii. Pewnym mankamentem, wynikającym wszakże z zawężonego programowo zakresu tematyki konferencji, było pominięcie historiografii litewskiej poświęconej Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz kwestii udziału Białorusinów w rzeczonym dziedzictwie. Jednak w całościowym bilansie zjazd w Drohobyczu, poza wyśmienitą organizacją, pokazał ożywczą różnorodność tematów i wielość nurtów badawczych, uzmysławiając przy tym, że spójna i wyczerpująca wizja czy jeden model interpretacyjny byłyby tu niedorzecznością. Fakt ten przyjmujemy nie jako postulat, lecz jako założenie, które stanowi z kolei dość mocną przesłankę dla kontynuacji dyskursu wokół tematyki I Rzeczypospolitej w podobnym stylu, ale in spe przy nowych i dalszych koncepcyjnych rozszerzeniach.

Lubelski Lipiec 1980 r.



MAŁGORZATA CHOMA-

JUSIŃSKA

Lubelski Lipiec 1980 r.

Historia lipcowych strajków na Lubelszczyźnie w 1980 r. weszła do kanonu wiedzy o buntach społecznych w PRL właściwe dopiero na przełomie XX i XXI stulecia, po ukazaniu się książki *Lubelski Lipiec* Marcina Dąbrowskiego (2000), który z kronikarską dokładnością odtworzył przebieg wydarzeń w regionie między 8 a 25 lipca. W następnych latach wątek lipcowych protestów powracał w publikacjach naukowych i popularnych, bez przesady można jednak stwierdzić, że poza Lubelszczyzną do powszechnej świadomości przebiły się tylko strajki na Wybrzeżu, zakończone podpisaniem porozumień sierpniowych. Tymczasem o miesiąc wcześniejsze wydarzenia na Lubelszczyźnie miały istotne znaczenie dla genezy ruchu „Solidarności”.

Lipcowe protesty bywały często deprecjonująco określane jako strajki „o kotleta”. Rzeczywiście bezpośrednią ich przyczyną była podwyżka cen mięsa i wędlin, którą komunistyczne władze wprowadziły 1 lipca. Formalnie podwyżki wdrażał Centralny Związek Spółdzielni Spożyców „Społem”, a nie rząd. Odbyło się to bez rytualnej zapowiedzi i zwyczajowych rekompensat. Od 1 lipca wybuchały nieskoordynowane strajki w różnych zakładach w kraju, m.in. w WSK „PZL-Mielec”, Fabryce Samochodów „Autosan” w Sanoku, Zakładach Mechanicznych „Ursus” w Warszawie. Wygasały dzień później lub po kilku dniach, kiedy władze ustępowały przed żądaniem płacowymi.

9 lipca strajk rozpoczęli pracownicy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik”. Był to największy zakład na Lubelszczyźnie, zatrudniał ok. 9 tys. osób. Następnego dnia protesty rozszerzyły się również na zakłady pracy w Lublinie. Wprawdzie 11 lipca dyrekcja WSK podpisała porozumienie z

pracownikami (co było ewenementem w relacjach władz ze zbuntowanymi obywatelami) i strajk się zakończył, ale tego samego dnia od stanowisk pracy odeszła załoga największego przedsiębiorstwa w Lublinie – Fabryki Samochodów Ciężarowych. 16 i 17 lipca zastrajkowała Lokomotywnia PKP, a potem inne zakłady lubelskiego węzła PKP. Protesty rozprzestrzeniały się także – choć w dużo mniejszej skali – na województwa sąsiednie: zamojskie, chełmskie, białkopodlaskie. Podwyżki cen, szczególnie zaś świadomość, że tym razem władze godzą się na ustępstwa wobec robotników, były tylko jedną z przyczyn fali strajków. Istotne znaczenie miały nastroje społeczne, przekonanie o konieczności zmian w sferze gospodarki, spraw socjalnych, warunków pracy, w relacjach rządzących ze społeczeństwem. Okrzyki „Koniec z tym!”, „Tak dłużej być nie może!” wyrażały determinację protestujących.

Protesty w regionie osiągnęły apogeum 18 lipca, kiedy strajkowało w województwie lubelskim 79 zakładów pracy, w tym przedsiębiorstwa transportowe w Lublinie, co sparaliżowało życie miasta i nadało wydarzeniom charakter strajku powszechnego.

W sumie w lipcu w Polsce strajkowało 177 zakładów pracy i 81 tys. pracowników, z czego 40–50 tys. w ówczesnych województwach lubelskim, chełmskim, zamojskim i białkopodlaskim. Te liczby nie były szczególnie imponujące. Protesty przebiegały spokojnie. Nie wywołały szerszych reakcji w innych regionach. Objęły obszar prowincjonalny, poza centrum życia społeczno-politycznego kraju, a dodatkowo kilka tygodni później przesłoniły je strajki na Wybrzeżu.

Mimo tych zastrzeżeń lipcowe strajki na Lubelszczyźnie zasługują na uwagę. Protesty na Lubelszczyźnie różniły się od dotychczasowych strajków w 1970 i 1976 r. Pracownicy nie opuszczali zakładu pracy do końca swojej zmiany, prowadząc protest rotacyjny. Przyjęli postawę gotowości do dialogu z władzami, negocjacji, a nie konfrontacji. Wyłaniano ciała przywódcze, ponieważ jednak dla pracowników – jak i dla władz – słowo „strajk” stanowiło tabu, reprezentowały ich komitety „postojowe” czy „robotnicze”.

Strajki wybuchały spontanicznie, nie miały charakteru solidarnościowego. Wprawdzie utrzymywano kontakt między zakładami, ale wynikało to raczej z naturalnych związków łączących kooperujące przedsiębiorstwa lub prywatnych relacji między pracownikami, a nie poczucia wspólnoty interesów. Nie powstał wspólny międzyzakładowy komitet strajkowy. To między innym przesądziło o wygasaniu protestów po 20 lipca. Największe przedsiębiorstwa już zakończyły strajki, a trzy dni wolne od pracy (20–22 lipca) zdemobilizowały załogi i rozładowały napięcie.

Również ekipa Edwarda Gierka przyjęła strategię ugodowego rozwiązania kryzysu, wycofywania się z podwyżek, przyjmowana płacowych postulatów strajkowych. Jednocześnie działaniami politycznymi czy policyjnymi, za pośrednictwem Służby Bezpieczeństwa, władze próbowały wywierać presję na strajkujących. Była to w pewnym sensie kontynuacja umiarkowanej polityki władz wobec opozycji. Często powtarza się, że Gierek dbał o to, by zachować w oczach Zachodu wizerunek liberalnego przywódcy. Niemniej w lipcu 1980 r. kierownictwo PZPR musiało też liczyć się z nastrojami w szeregach partyjnych – także w tym gronie dostrzegano konieczność zmian. Kiedy 18 lipca Lublin był

niemal sparaliżowany strajkami, na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR w Warszawie zdecydowano o powołaniu specjalnej komisji rządowej, która miała się zająć rozpatrzeniem postulatów strajkowych.

Jak w przypadku innych kryzysów społeczno-politycznych w PRL, istotną rolę odgrywała propaganda. Władze przyjęły strategię ograniczania obiegu informacji o protestach i ich skali. Był to przejaw swego rodzaju magicznego myślenia, że jeśli o czymś nie mówi się publicznie, to zjawisko takie nie istnieje. Dopiero 17 lipca „Sztandar Ludu” w artykule Nasze wspólne troski wspominał o „przerwach w pracy” w kilku dużych przedsiębiorstwach. Tylko w wydaniu gazety z 19 lipca opublikowano komunikat z posiedzenia BP KC PZPR i informację o powołaniu komisji rządowej (wspomniano o tym także w audycji lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia). W przeciwieństwie do kampanii propagandowych towarzyszących protestom w 1968, 1970 i 1976 r., w oficjalnych wypowiedziach nie było ataków na „rozrabiaczy” i „warchołów”. Prasa kreśliła obraz wzrostu wydajności pracy i rosnącej produkcji. Choć oczywiście występowały również niedociągnięcia i „wspólne troski”. Wyrazem tych ostatnich były przewijające się w medialnych przekazach apele o „odpowiedzialność i rozwagę”.

W lipcu postulaty strajkowe miały przede wszystkim charakter ekonomiczny i socjalny albo dotyczyły spraw konkretnego zakładu. Formułowane żądania zrównania płac i świadczeń socjalnych oraz zlikwidowania przywilejów różnicujących regiony kraju i grupy zawodowe, zwłaszcza tych należnych milicji i wojsku, wyrażały egalitaryzm robotników. Sfery politycznej dotyczyły postulaty uniezależnienia związków zawodowych od PZPR i administracji czy publikowania w prasie prawdziwych informacji o sprawach gospodarczych i politycznych (to odnosiło się do cenzury).

W przeciwieństwie do protestów sierpniowych, strajki w lipcu wybuchły bez bezpośredniego udziału opozycji demokratycznej. Lublin był stosunkowo silnym ośrodkiem na ówczesnej mapie niezależnych inicjatyw: lubelskie środowisko skupione wokół pisma „Spotkania” było jednym z pierwszych w kraju tworzących niezależny ruch wydawniczy (kilka osób z tego kręgu łączyły też więzi współpracy czy przyjaźni z działaczami Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”), aktywni byli uczestnicy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, działacze Konfederacji Polski Niepodległej, w województwie powstał pierwszy w kraju Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej. Wpływy opozycji głównie inteligenckiej wśród robotników ograniczały się jednak przede wszystkim do rozpowszechniania niezależnych wydawnictw. Udział robotników czy, szerzej, pracowników przedsiębiorstw w jej działalności był marginalny, podobnie jak kontakty osobiste z opozycjonistami. Niemniej właśnie ci, którzy przed lipcem 1980 r. zetknęli się z kręgami kontestującymi system, należeli do najbardziej aktywnych działaczy strajkowych. Trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jeden istotny kanał oddziaływania na świadomość środowisk pracowniczych. Poza opozycyjną prasą, zwłaszcza „Robotnikiem”, taką rolę odgrywała polska rozgłośnia Radia Wolna Europa. Tematy dotyczące sytuacji gospodarczej w PRL czy braku instytucjonalnego zabezpieczenia interesów zawodowych robotników przewijały się wielokrotnie na antenie radia.

Po wybuchu protestów KSS „KOR”, ROPCiO i chłopskie komitety samoobrony wydały oświadczenia popierające strajkujących. Zapewne nie miały one bezpośredniego

znaczenia dla rozwoju sytuacji na Lubelszczyźnie, ale powielane w prasie drugiego obiegu i na antenie RWE, przyczyniły się do rozpowszechnienia w kraju informacji o protestach. Ta informacyjna rola opozycji w Lipcu była istotna. Wobec milczenia oficjalnej prasy w Lublinie działacze różnych środowisk nawiązywali kontakty ze strajkującymi załogami, zbierali dane o okolicznościach strajków i postulatach. Różnymi drogami, m.in. za pośrednictwem KSS „KOR”, informacje przekazywane były zagranicznym korespondentom w Polsce i redakcji RWE, a potem na falach radiowych wracały do kraju. W ten sposób przełamano monopol władz na obieg informacji.

Lubelski Lipiec 1980 był swego rodzaju (nieuświadomionym) testem organizacji i siły robotniczego protestu oraz reakcji rządzących. Kilka tygodni później na Wybrzeżu zaowocowały słowa powtarzane w lipcowych oświadczeniach opozycji o potrzebie solidarności i wzajemnego wsparcia różnych środowisk. Jeszcze przed powstaniem „Solidarności” nawiązane zostały więzi współpracy między robotnikami a opozycją w Lublinie. Dla lublinian Lipiec 1980 miał ogromne znaczenie w procesach budowania wspólnoty. W mieście strajkowało 91 zakładów pracy, protesty stały się zatem elementem doświadczenia sporej części mieszkańców miasta. Od jesieni na świeżej pamięci lipcowych strajków budowano siłę regionalnej „Solidarności”. Ale jeszcze większego znaczenia Lipiec nabrał z perspektywy czasu. Współcześnie jest ważnym elementem wzmacniania poczucia lokalnej tożsamości.

Korekta językowa: Beata Bińko

Literatura

Choma-Jusińska Małgorzata, Środowiska opozycyjne na Lubelszczyźnie 1975–1980, Warszawa–Lublin 2009.

Dąbrowski Marcin, Lubelski Lipiec 1980, Lublin 2000

Dąbrowski Marcin, NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni w latach 1980–1981, Lublin 2014.

Friszke Andrzej, Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności, Kraków 2011.

Kozłowski Tomasz, Anatomia rewolucji. Narodziny ruchu społecznego „Solidarność” w 1980 r., Warszawa 2017.

Krzemiński Ireneusz, Solidarność. Niespełniony projekt polskiej demokracji, Gdańsk 2013.

[Kim byli churchilłowscy „nieliczni”?](#)



JAN SZKUDLIŃSKI

Kim byli churchilowscy „nieliczni”?

Pod datą 20 sierpnia 2010 r. na stronie internetowej polskiego wydania „Newsweeka” zamieszczono artykuł pod tytułem „70 lat temu Churchill dziękował Polakom za bitwę o Anglię”. Chodzi oczywiście o jedno z najsłynniejszych przemówień wygłoszonych przez brytyjskiego premiera, w którym pada zdanie: „Nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym”. Przekonanie, że w wypowiedzi tej brytyjski premier miał na myśli 144 polskich pilotów myśliwskich, którzy należeli do najskuteczniejszych lotników broniących brytyjskiego nieba przez Luftwaffe, wydaje się dość powszechne. Wyniki internetowego wyszukiwania pokazują szereg trafień z popularnych portali dla szukających łatwych rozwiązań uczniów, jak również podobne wypowiedzi z blogów czy serwisów medialnych. Portal Polskiego Radia opublikował 2 sierpnia 2014 r. tekst pt. Dywizjon 303 – bohaterzy bitwy o Anglię, gdzie napisano: „Do historii przeszły słowa ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla, który wspominając udział Polaków w bitwie o Anglię, powiedział: »nigdy w historii ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak dużo tak nielicznym«”. Serwis internetowy Radia Wnet, donosząc o rozpoczęciu zdjęć do filmu „Dywizjon 303”, napisał: „Winston Churchill powiedział o polskich lotnikach: »Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym«. I miał absolutną rację”. Recenzentka powieści Remigiusza Mroza pt. Turkusowe szale o 307 Dywizjonie Nocnym, „Lwowskich Puchaczach”, napisała: „Polscy piloci, strzelcy, radiooperatorzy i mechanicy wykonywali swoją pracę doskonale. Winston Churchill powiedział o nich: »Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym«. Miał absolutną rację...”. Często też spotykam się z tym twierdzeniem w debatach historycznych toczonych na odczytach, konferencjach – wygłaszanym niekiedy przez doświadczonych historyków – jak i na internetowych forach czy portalach społecznościowych.

Czy jednak Winston Churchill rzeczywiście mówił o Polakach? Treść

przemówienia, dostępna na stronach Towarzystwa Churchillowskiego, nie sugeruje niczego podobnego. To długie przemówienie, poruszające różne wątki, w części tylko poświęcone jest pilotom myśliwskim. Ponadto brytyjski premier pragnie przypomnieć także poświęcenie pilotów brytyjskich samolotów bombowych, którzy wykonują w bardzo trudnych warunkach działania odwetowe przeciwko Niemcom, nie uzyskując z tego powodu nawet ułamka uznania przypadającego pilotom myśliwskim. Jednakże wątpliwości nie pozostawia fakt, że we fragmencie swej mowy mówiącej o „nielicznych” Churchill wprost mówi, że ma na myśli „lotników brytyjskich”. I nie mogło być inaczej. Winston Churchill nie mógł dziękować polskim lotnikom w swojej mowie, ponieważ w chwili, gdy mowę tę wygłaszał, czyli 20 sierpnia 1940 r., Dywizjony 303 i 302, które miały okryć się zasłużoną sławą, nie osiągnęły jeszcze gotowości bojowej. W walkach uczestniczyło już kilkunastu polskich pilotów, ale w składzie dywizjonów brytyjskich. Dywizjon 303 wszedł do walki 11 dni po mowie Churchilla i w zaciętych walkach stał się najskuteczniejszą jednostką Fighter Command wyposażoną w starsze maszyny Hawker Hurricane I, z około 55 zestrzeleniami, jednym z trzech najskuteczniejszych dywizjonów Fighter Command. Choć więc polskie dywizjony zyskały zasłużenie ogromną sławę podczas bitwy o Anglię, mowa Churchilla miała miejsce wcześniej, brytyjski premier nie mógł więc sławić w niej polskich lotników.

Skąd zatem wzięło się to przekonanie? Gdyby szukać źródła, z którego kolejne pokolenia Polaków czerpią wiedzę na temat, jedynym wyborem jest bez wątpienia arcydzieło (30 polskich wydań!) Dywizjon 303 Arkadego Fiedlera, z której to książki pokolenia Polaków czerpią wiedzę o dokonaniach polskich lotników. Także i ja po raz pierwszy zapoznałem się z tym cytatem właśnie w reportażu Fiedlera, po który sięgnąłem wcześniej, niż wymagał tego kanon lektur szkolnych. Spójrzmy więc, jak Arkady Fiedler użył churchillowskiego cytatu: „Winston Churchill już po pierwszej fazie bitwy oddał brytyjskim myśliwcom [podkr. J. Sz.] najwyższy honor. Wyrażający się często dosadnie, wypowiedział o nich wiekopomne słowa »Never in the field of human conflict was so much owed by so many to so few«”. W kolejnym akapicie Fiedler pisze: „W tym dzielnym hufcu walczyli także obok brytyjskich towarzyszy także polscy myśliwcy. Ich dywizjon [...] sławny Dywizjon 303 – wszedł do bitwy w ostatniej, decydującej fazie i walczył przez 43 dni, od 30 sierpnia poprzez wrzesień do 11 października 1940 roku”.

Jak widzimy, uważna lektura tekstu Arkadego Fiedlera nie pozostawia wątpliwości, że mowa Churchilla poprzedzała wejście do akcji Dywizjonu 303 i że brytyjski premier, wypowiadając wiekopomne słowa, miał na myśli brytyjskich pilotów myśliwskich. Jednakże sugestia pozostaje silna. Na tyle silna, że Janusz Termer, autor tekstu wprowadzającego do kolejnego wydania książki pisał: „Sam premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill powiedział po »bitwie o Anglię«, że »Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym«. A miał na myśli także i polskich lotników...” [podkreślenia J. Sz.]. O ile mi wiadomo, wstęp Janusza Termera do wydania z 1974 r. zamieszczany był także w kolejnych wydaniach Dywizjonu 303. Katarzyna Cwiękała, autorka przeznaczonego dla uczniów opracowania zamieszczonego w jednym z najnowszych wydań książki pisze nawet: „Słowa brytyjskiego premiera Winstona Churchilla były hołdem dla polskich lotników [podkreślenie oryginalne]. Nie dziwi zatem popularność twierdzenia, iż

churchillowscy „nieliczni” to Polacy. Można sądzić, że przekonanie, iż jedna z największych postaci XX wieku osobiście doceniła bohaterstwo Polaków, wyniesie ze szkoły każde kolejne pokolenie uczniów – także i tych, którzy zamiast lektury przeczytają jej internetowe omówienia czy łatwo dostępne bryki.

Jak jednak wykazałem wyżej, to nie Arkady Fiedler ukuł mit głoszący, że „nielicznymi” w mowie Winstona Churchilla byli piloci polscy. Dlaczego autor wstępu do Dywizjonu informację tę zawarł? Przypuszczam, że przyczyną tego jest poczucie nieustannego „głodu sukcesu” odczuwanego przez jakże wielu Polaków. Często mówi się, że my, Polacy, interesujemy się historią. Niestety, nie jest to prawda. Polacy historią nie tyle się interesują, co emocjonują. I ten nasz emocjonalny stosunek do własnych dziejów sprawia, że bardzo często przeinaczamy fakty historyczne tak, by „lepiej” oddawały nasze bohaterstwo.

Bibliografia:

[<http://www.newsweek.pl/swiat/70-lat-temu-churchill-dziekowal-polakom-za-bitwe-o-anglie,63435,1,1.html>]

[<https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/902181,Dywizjon-303-%E2%80%93-bohaterzy-bitwy-o-Anglie>]

[<http://www.radionet.pl/publikacje/miedzynarodowa-produkcja-dywizjon-303-o-polskich-pilotach-walczacych-w-bitwie-o-anglie-spotkanie-z-ksieciem-williamem-i-projekty-na-100-lecie-polskiego-lotnictwa>]

[<https://historykon.pl/turkusowe-szale-recenzja/>]

[http://www.greg.pl/lektury/9,858_Dywizjon-303.html]

[<http://www.churchill-society-london.org.uk/thefew.html>]

Korekta językowa: Anna Bartoś